

WIADOMOSCI BRUKOWE.

Wilno w Sobotę

Dnia 20 Kwietnia

ZDARZENIA I MYSLI

PANFILA ZE ŻMUDZI.

Do Pana Redaktora.

Niech to W Pana nie zastanawia, Mości Redaktorze, że się ma pod postacią *Panfila ze Żmudzi* zalecam. Imię moje jest w rzeczy samej *Panfil*, chociaż manunia nie zaniedbała mi postarać się o pół tuzina innych jeszcze, ale o tych później będę miał zręczność mówienia. Za oyczynę szczyć się mieć xięztwo żmudzkie, powiat, sławnej pamięci, dyrwiański; co do nazwiska, to chcę mieć utajone przed światem. Wiele dobrego, a więcej jeszcze złego doświadczałem w ciągu życia, którego nie jedno zdarzenie równie mogłoby zadziwić, jak cudowne podróże *Culiwera*, dzieje *Donkiszota* i przypadki poczywego *Tristrana Szandy*. Zapisywałem starannie wszystkie te przypadki, na pociechę mojego sumnienia, a na użytek łaskawych bliźnich. Ale ach! Mości Redaktorze, niemogę się tu wstrzymać od żałośniego westchnienia, kiedy przypomnę, że wojna 1812 roku; że, co większa, jedna wizyta niewczesna, wasatego lecz skąd inąd zacnego kapitana illiryskiego, pozbawiła mię w jednej godzinie owocu dwudziestoletnich obserwacyi. Nie mam potrzeby trudnić W Pana gawędą; jak ów wasaty kapitan illiryczyk zawitał z oddziałem walecznych dragonów, do mojego domu na wsi; jak wylajawszy mię naprzód po niemiecku, dosyć harmonicznie, przyznał się potem do pobratymstwa i toż samo, dla łatwiejszego wyrozumienia, po sławiańsku powtórzył; jak potem zaczął szukać żywności po stolikach, ko-

modach, biurkach i szkatułach; jak nawet trafił do szpichlerza, a zakończył łaskawe odwiedziny na wypróżnieniu stajni. Zaczny to jednak był człowiek, niech mu Bóg nie pamięta, jeżeli tu w czémkolwiek zasady determinacyi woyskowej przestąpił; szanowny człowiek! Mógł mi dóm spalić, mógł nawet mnie samego, jednym strzałem pistoletu na tamten świat wyprawić! a przecie, jaka uczciwość! niechciał na ten raz użyć swego prawa. Otoż tedy, Mości Redaktorze, mój dziennik, *starł się*, jak powiadają, w tej rewolucyi mojego domu. Tu miałbym miejsce, wyzionąć tysiące przekleństw na krwio-żerczego *Marsa*, rozdąsać się na okrutną *Bellonę* it. d. i t. d. Ale nie, nie lękay się tego W Pan: wiek przytępił nieco szalę zapaloney młodości: przebaczam wszystkim bogóm, boginiom i półbóstwóm, tak męskiego jak i żeńskiego rodzaju. *Sic fatatulerunt!* A W Pana nawzajem proszę o przebaczenie, że mu niektóre ocalone z rabunku rozdziały dziennika mego, kiedy niekiedy rekomendować zamyslałem. I tak posyłam mu na początek:

ROZDZIAŁ XXI.

Ciotunia.

„*Kochay i szanuy Pannę Ciwunownę Dyrwiańską, twoię zacną ciotkę*“ mawiał mi często mój oyciec, który takż nie był niczém: już bowiem od pradziada urząd piwniczego wendeńskiego dziedziczył; a który i na moię osobę, troskliwy o sławę swey familii, przelać miał nadzieję. „*Kochay i szanuy Pannę Ciwunownę Dyrwiańską*“ powtarzała mi codzień po pacierzu matka, tak, że słowa te zacząłem uważać niciako za święte; niewiedząc w niewinności

serca mego, na jaki koniec wpajano mi tak gorącą cześć ku Jeymości Pannie Ciwunownie Dyrwiańskiej: bom iey nawet znać dotąd nie miał szczęścia. Skończony dopiero ośmnasty rok życia mego, który u nas, jak wiadomo, jest upoważnionym wiekiem doskonałości: kiedy już został przypuszczony do interesów rodziny, oświecił mnie, że moja ciotka, Panna Ciwunówna, miała 600,000 złotych polskich majątku, mogącego z czasem, jeżeli się potrafię zasłużyć, być moją własnością. Każdy bezstronny czytelnik uzna, że to był powód nacyczewistszy, naysprawiedliwszy, nayszlachetniejszy, a co większa naydowcipniejszy, do codziennego powtarzania owych poważnych słów: „*Kochay i szanuy Pannę Ciwunównę Dyrwiańską, twoję zacną ciotunię!*“ — Dwuletni pobyt na dworze Xiążęcia . . . dokąd mię rodzice wysłali (jak to wyżej opisałem w *Rozdziale*, którego dotąd jeszcze nie znalazłem) dla *przetarcia się*, podług owczesnego sposobu wychowywania młodzieży, przetarł mnie w rzeczy samey, i oswobodził z wielu przesądów i zabobonności, w których żyłem sobie spokojnie w powiecie Dyrwiańskim. Tak przygotowany, gdy powróciłem do domu, oświadczone mi, abym się natychmiast wybierał w podróż do ciotki; która, chociaż dostojnością Ciwunówny Dyrwiańskiej zaszczycona, nie mieszkała jednak w tym powiecie, ale o kilkadziesiąt mil na Polesiu. Odebrawszy więc rozkaz oycy, który go nie lubił kilka razy powtarzać, i instrukcyę jak się mam sprawować, abym względy ciotki umiał pozyskać, udałem się natychmiast w drogę. — Mijam przypadki zbyt pospolite; to jest, że dwa razy przewróciłem się z pojazdem na grobli, w majątku jednego pana, który miał 200,000 dochodu; że przepędziłem, z karczmą jednego podstarościego, który śmiał zająć przede mną izbę sypialną, a mnie z kolei przepędził wielki Dygnitarz z licznym dworem do Warszawy jadący; co mi dało przestrożę na potém, abym sam podobnych głupstw nigdy nie zaczynał — Czeły mi zdarzenia ważniejsze. Siódmego dnia

od wyjazdu, o godzinie dziesiątej zrana, jak dziś pamiętam, uyrzałem o podał dóm ciotki, którą miałem wnet poznać. Niespokojność jakaś wewnętrzna zdawała mi się wróżyć, że nie naylepiej odwiedziwy te odbędę. Jednako-woż, nabrawszy otuchy, kazałem woźnicy, ażeby, wjeżdżając na dziedziniec, użył całej swey zęczności w stokratnych trzaskaniach z bicia. Niezawiodł méy ufności stary Mateusz. A jako Burmistrz Bremeński wjeżdża do miasta podczas swéy installacyi wśród huku mozdzerzów i odgłosu dzwonów, tak piwniczyc wendeński w sześciokonnym koczku, na szerokich unoszącym się pasach, wpadł tryumfalnie przed ganek, wśród echa biczowych trzasków i tententu galopujących wspaniale gniadoszów. Jeden posuwisty krok z drzwiczek pojazdu postawił mię niemal u drzwi pierwszey izby, i już miałem przez nie wpaść rubasznie, kiedy, o fatalny losie! pękata służąca, umykając przed gościami z garkiem pierza, które miano zwyczaj drzeć pod piecem, zawadziwszy o próg, nazbyt, niestety! wysoki, rozciąga się jak długa na ziemi, osypawszy mię od stop do głowy gęsim puchem. Niezrażony tak smutnym traktamentem, jednym susem przeskakuję leżące stworzenie, i biegnę naprzeciw poważnego dworzannina Jeymości, którego w głębi pokoju widział idącego na moje przywitanie. W zapale grzeczności i uniżonych ściskań, traci nieborak ostatecznie dwa zęby, które mu, trafiwszy czołem, miałem nieszczęście wytrącić. Wtém wchodzi Jeymość. Tu nowe nieszczęścia! kreśląc bowiem nogą łuk, nieodbitie potrzebny w systemacie ukłonów, płam ją w kartonową firankę, a deska, na której zawieszoną była, upada z hałasem na zegar stojący na stoliku, zrzuca go i tłucze. Nakoniec, dzięki Bogu, zarekomendowałem się Jeymości, jaskając się z pomieszania, i nayserderczniej przepraszałem za tak niezgrabną żywość. Już nawet chciałem na obronę swoję przytoczyć za przykład jednego znajomego mi poeę, któremu w 50tym roku życia podobne przypadki codzien się nie-

mał zdarzały; ale jeszcze ust nie otworzył, kiedy ciotka wyrwała mię z ambarasu, mówiąc: „Nie to, mój *Panfiliu*, dziś poniedziałek, jest to dzień feralny, ja sama częstokroć wpadam w rozziargnienie Jednakowoż, dodała poważnie, nadzwyczajna żywość, którą w tobie postrzegam, niezupełnie przystoi takiej familii, jak ty, kawalerowi. Zostawić ją należy szlachetce o jednym dymie, albo też prawnym pisarzóm; W Panu zaś, synowi urzędnika wendeńskiego, przez sam wzgląd na krew zacną, z której pochodzisz, trzeba byđz koniecznie poważnym.“ — Ach! rzekłem, łaska wa Ciotuni Dobrodziko, mówmy otwarcie: dawno już odbierałem napomnienia za moję plochość, a szczególniej przestrogi Pana Władysława, przyjaciela mego nadworne Xiążęcia, tkwią mi żywo w pamięci. Nie przypominam jednak, aby mi, o zacności krwi mojej, w tey materji wspominał; powiadał mi tylko, że nieuważne moje znalezienie się w towarzystwie, ubliżało przystoyności, którą, jakiegokolwiek bądź stanu człowiek, powinien zachować, aby pozyskał opinią dobrze wychowanego; a nawet, co większa, ganił mi, ile razy chciałem się popisywać z znakomitem urodzeniem, przed moimi współ-towarzyszami. Chępczenie się z tego, powiadał mi, jest próżnością równie śmieszna w oczach innych ludzi, jak niepożyteczna względem siebie. Piękna jest bez wątpienia prerogatywa szlachectwa i nawet istotnie potrzebna w narodzie, ale... W tém surowe i przenikające spojrzenie Ciotki, zmieszało mię i zamknęło usta. Zdaje mi się, że gdybym dziesięciu dworzanom powybijał zęby, gdybym wszystkie poobrywał firanki i potłukł zegary, niebyłbym nigdy tak winnym w oczach moiej Ciotki, jak po tych słowach, którem wyrzekł, chociaż były cudze. — „Jakto!“, zawołała, cała obruszona „możnaż wierzyć? aby tak młody człowiek, jak W Pan, Panie *Panfilu*, tak śmieszne maxymy śmiał przeymować, które wyborne są w książkach, wyśmienite na kazaniu, ale nie wpośród dbalego o swe przy-

wileje obywatelstwa. Otóż to owoc nieroznyślny przyjaźni, otóż modne wychowanie wasze! Ach! kochanku, gbybyś ty mógł czuć całą wielkość i pożytek genealogii, inaczejbyś gadał.“ Tu najdroższa Ciotunia zaczęła się szeroko rozwódzić nad zacnością i starożytnością domu swojego, a *per consequens* i mojego. W tém przybyłe na obiad podkomorstwo z liczną czeredą, zmieniło, na chwilę, genealogiczną mowę Ciotki, w etykietalne komplementa. Lecz zaledwo odetchnięto, natychmiast z nowym zapalem, wszyscy społem zaczęli wynosić pod niebiosa swoje familje. Na samym zaraz początku wywodów urodzenia, nieszczęsna Skarbnikowa, padła naprzód ofiarą. Pokazało się oczewiście, że pradziad iey był mieszczaninem, a co większa, lutrem. Już chciałem uzalać się nad niebogą, kiedy w ten moment Stolnik powiatowy zajął z chwałą miejsce Skarbnikowej. Utrzymał się przy szlachectwie: bo Pan Podkomorzy twierdził, że przodek stolnika jeden był z pierwszych, którzy się na rozsiekanie Hetmana Gąsiewskiego porwali: oczewisty więc dowod, że był szlachcicem. Ale jednak, dodał pokręcając wąsa, niedawna to szlachta! bo przed tym czynem, o żadnym tego imienia kronikarze nasi nie wspominają. Przyznam się, że litowałem się więcej nad rubasznym przodkiem Pana Stolnika, niż nad heretyckim urodzeniem Pani Skarbnikowej; ale mniejsza oto: była to myśl przemijająca — Ciągnęła się daley rozmowa, w której Ciotka moja cały ogrom wiadomości genealogicznych zdziwionemu towarzystwu okazała. W jedney godzinie dowiedziałem się, z wielką moją pociechą, o całej familii Pani Podkomorzyny, która od niechcienia niby namieniła, że się rodzi z Kasztelanki, a ta, z Podstolanki koronney, której meża cioteczno-rodzony wuy, miał nad-dziada sławnego dotąd, że trzeci po Sicińskim zerwał seym, dostał starostwo, i chciał się zapisać na kandydata do tronu. — Ciotka moja dotknięta cokolwiek tak znamienitym wywodem, już chciała przekonywać, że się to na tradycyi tylko wspie-

ra; ale oznajmiono, że obiad gotowy. Udaliśmy się wnet do jadalnéj izby. Obrus zastawny na stole, zwrócił moje oczy. Na błękitném dnie, czerwonym kolorem jaśniały po rogach herby familii i cyfry moiej ciotki; w środku było wyobrażenie bitwy pod Kircholmem, w której 50 Szwedów prosiło na kłęczkach o pardon antecessora Jeymości, Rotmistrza naówczas hussarów. — Mijam wszystkie réprymandy, którem ściągnął na siebie od gospodyni i gości, za moje niedowiarstwo względem tych 50 szwedów i Pana Rotmistrza; to tylko powiem, że niewinném zdarzeniem, które spotkało mnie wieczorem, nazawsze zgubiony zostałem w myśli ciotki. Po obiedzie bowiem, przyniosłszy na ogromnym czterołkciowym atlasie drzewo genealogiczne swojej familii, i nudząc mię niemi aż do wieczora, kazała nakoniec, w nadziei nawrócenia zbalamuczonego siostrzeńca, abym się przynajmniej z najczniejszych gałęzi wyuczył na pamięć i nazajutrz rano experiment jey wydał — O! zawistny losie, któryś się wziął mnie prześladować w domu Panny Ciwunówny Dyrwiańskiej! zawolałem powróciwszy do sypialnej

izby, niepozwolesz mi nawet i nocy spokojnej! rzekłem z ciężkiem westchnieniem i uderzywszy się w ciemie, zacząłem czytać nieszczęsne drzewo. Ale tak chciały wyroki; nie doszedłem jeszcze pierwszój linii kollateralnej, a już Morfeusz przyjął mię na swe łono. — Nie będę zmartwiony kiedy i czytelnik, potym rozdziale tak słodko zaśnie, jak ja nad genealogiczném drzewem Panny Ciwunówny Dyrwiańskiej.

Ostrzeżenie.

Przepowiedziane zapadnienie Wilna, które się zjść miało w czasie świąt wielkonocnych, odłożone zostało na dzień 23 kwietnia. Ażeby tedy kredytorowie, mający intencją przyjechać dla odebrania pieniędzy, nie narażali się na niebezpieczeństwo, czyni się ostrzeżenie, z tą excepcją, że mający pieniądze do pożyczania, śmiało przybywać mogą i że nie doświadczą żadnej przygody, Przepowiadacz uręcza, ale za kredyt kaucyi żadney nikomu nie ofiaruje.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miejsc prawem wyznaczonych.

X. F. N. Golański Czł. Kom. Cenzury.

W Wilnie w drukarni Redakcyi pism peryodycznych.